

Mirosław Habowski

Dominique Moïsi, *Geopolityka emocji. Jak kultury strachu, upokorzenia, nadziei przeobrażają strach*, tłumaczenie Renata Włoch, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2012, ss. 256.

„Przedstawioną w tej książce próbę rozszyfrowania świata i zbiorowego zachowania narodów za pomocą emocji większość politologów i badaczy stosunków międzynarodowych uzna za herezję” (s. 217) – prowokacyjnie uwodzi czytelników francuski politolog opisując własną książkę. Nie sposób jednak się z taką oceną zgodzić. Trudno recenzowaną pracę uznać za heretycką wobec nauki o stosunkach międzynarodowych, gdyż w żaden sposób nie mieści się ona w jej ramach. Jest ona raczej traktatem ideologicznym, należącym do głównego nurtu politycznego Europy przełomu XX i XXI wieku. Traktatem próbującym ratować koncepcję „końca historii” Francisa Fukuyamy. W ten sposób jednak Moïsi umieszcza się w obrębie nurtu ideowego, do którego zaliczają się także amerykańscy neokonserwatyści, owi „bolszewicy demokracji” jak ich nazywa za Danielem Cohn-Benditem (s. 180). O skali klęski koncepcji „końca historii” może świadczyć fakt, że kraje liberalnej demokracji, które w wizji Fukuyamy miały osiągnąć błogi stan końca historii, do którego nieszczęśni mieszkańcy innych regionów świata mieli dążyć, w recenzowanej pracy są zaliczane do „kultury strachu”! A wszak w 2008 r., gdy książka była pisana, kryzys dopiero się zaczynał i ówczesne nastroje Europejczyków można by uznać za optymistyczne w stosunku do tego, co mamy w roku 2013. Klęska koncepcji Fukuyamy uwidacznia się także w fakcie, iż autorytarne i łamiące prawa człowieka Chiny Moïsi jest zmuszony uznać za czołowego przedstawiciela budzącej podziw „kultury nadziei”.

Moïsi jednak nie traci nadziei. Kreśląc pożądany, „optymistyczny” (przyznając zarazem, że jest on mało prawdopodobny) scenariusz, francuski publicysta pisze: „mniej więcej w 2009 roku zaczął się bardzo pomyślny okres w dziejach ludzkości, którego wprawdzie nie możemy poczytywać za *koniec historii*, jaki w 1991 zbyt optymistycznie zapowiedział Francis Fukuyama, niemniej ujmując rzecz skromniej i bardziej realistycznie, możemy uznać za nową epokę oświecenia” (s. 239). Problem w tym, że zdaniem recenzenta owa „epoka oświecenia” zdumiewająco przypomina rzeczywistość z okresu hegemonii USA w latach 1991 – 2008. Co prawda, rolę światowego żandarma miałyby pełnić zreformowana ONZ, a nie same USA, ale metody kontroli państw słabszych przez mocarstwa byłyby identycznie. W „optymistycznej” wizji przyszłości świata w roku 2025 ONZ dysponuje silnymi oddziałami militarnymi

złożonymi ze „znanych z wytrzymałości, odwagi i karności” nepalskich Gurkhów. Owi „najemnicy pokoju” mieliby według Moïsiego wywierać „paraliżujące wrażenie odstraszające zarówno na potencjalnych agresorach, jak i przywódcach skłonnych stosować przemoc wobec własnego społeczeństwa. Mądrze stosowana doktryna interwencji obowiązkowej, chociaż została niemal zupełnie skompromitowana w okresie wojny w Iraku, przetrwała i stała się podstawą nowego systemu prawa międzynarodowego” (s. 232). W chwilę później z francuskiego liberała wychodzi francuski imperialista i spadkobierca tradycji kolonializmu: „Przesłanie dla potencjalnych przestępców jest bardzo jasne: *Suwerenność narodowa już was nie chroni. Za zbrodnie odpowiecie przed społecznością światową*” (s. 241). „Społecznością światową” czyli grupą wielkich mocarstw rządzących światem, bo przecież trudno uwierzyć, żeby mogła zaistnieć sytuacja, że np. na hipotetyczny wniosek Nikaragui i Panamy ONZ przeprowadzi „interwencję obowiązkową” przeciwko USA i jako przestępcę potraktuje prezydenta tego imperium. Zacytowane słowa francuskiego ideologa to świetny przykład trafności diagnozy Carla Schmitta, który w okresie między I a II wojną światową pisał: „groza, którą musi budzić świadomość, że wszystkie te środki przemocy nieuchronnie zostaną wykorzystane, została całkowicie wyparta przez neutralne, pacyfistyczne nazewnictwo. Wojna – jako określenie – przestała istnieć, pojawiły się natomiast takie opisowe pojęcia jak egzekucja, sankcja, ekspedycja karna, pacyfikacja, obrona zobowiązań międzynarodowych, międzynarodowy system bezpieczeństwa, środki zachowania pokoju. Przeciwnika nie nazywa się już wrogiem, lecz wicherzycielem i burzycielem pokoju – jest on poza prawem i poza człowieczeństwem”¹.

Co zrozumiałe, że zdecydowaną wrogością odnosi się Moïsi do koncepcji „zderzenia cywilizacji”. Wydaje się, że największą winą Huntingtona jest fakt, że jego prognoza w dużym stopniu się sprawdziła. We fragmencie książki prezentującym negatywny, „pesymistyczny” scenariusz rozwoju sytuacji w latach 2009 – 2025 francuski autor pyta: „A może istnieje podskórny czynnik, który można uznać za motor globalnego załamania w ostatnich dwóch dekadach?” [czyli w hipotetycznym okresie 2005 – 2025]. I odpowiada: „Jeśli taki czynnik istnieje, jego naturę można by opisać krótko w następujący sposób: *idea zderzenia cywilizacji, która początkowo była prowokacją intelektualną, zamieniła się w samospełniającą się przepowiednię*. Gdy w 1993 roku Samuel Huntington wysunął dramatyczną koncepcję nieuchronnego zderzenia między światem islamu a Zachodem, wielu uznało ją za przesadzoną, a nawet nieco histeryczną. Ale w następnych latach cały splot

¹ C. Schmitt, *Teologia polityczna i inne pisma*, Kraków 2000, s. 249.

niemal niepowstrzymanych procesów zamieniał ją w rzeczywistość. Ataki terrorystyczne z 11 września nie były *jedynym* powodem, ale niewątpliwie przyczyniły się do przyspieszenia lawiny zdarzeń, w tym nieporozumień, błędnych rachub i ocen, które doprowadziły do tego smutnego stanu rzeczy. Przez cały czas jedną z sił sprzyjających chaosowi, a na ogół wymykającą się świadomości decydentów, była obawa, że wizja Huntingtona jest trafna” (s. 226). Taka diagnoza musi budzić zdumienie. Wszak inicjatorzy amerykańskiej agresji na Afganistan i Irak odwoływali się do koncepcji „końca historii”. Już same nazwy operacji wojskowych realizujących zadanie podboju tych państw przez USA: „Trwała wolność” i „Iracka wolność” pokazują jakie ideologiczne koncepcje im przyświecały. Lektura książki Huntingtona raczej odwodzi od marzeń o demokratyzacji państw muzułmańskich. Zupełnie inaczej jest w przypadku lektury książki Fukuyamy, która rodzi przekonanie, że świat islamski wcześniej czy później stanie się taki sam jak Zachód. Zresztą, sam Moïsi w jednym z przywołanych cytatów mimowolnie przyznaje, że amerykańska agresja na Irak skompromitowała ideę „interwencji obowiązkowej” – wszak nie jest to idea huntingtonowska, ale liberalno-demokratyczna właśnie.

Co więcej, sam francuski autor w pewnym sensie tkwi w schemacie Huntingtona. Nie zmienia tego zabieg podmiany w miejsce terminu „cywilizacja” słowa „kultura”. Nie zmienia tego także zabieg podmiany w miejsce kategorii geograficzno – religijnych terminów określających stany emocjonalne. Nazwanie cywilizacji hinduistycznej, buddyjskiej i chińskiej „kulturą nadziei”, cywilizacji islamskiej „kulturą upokorzenia”, a cywilizacji zachodniej „kulturą strachu” potwierdza w istocie trafność zasadniczych tez szkoły opisującej świat w kategoriach cywilizacyjnego pluralizmu (jej znakomitymi przedstawicielami byli m. in. Feliks Koneczny i Arnold Toynbee).

Głębokie zaangażowanie ideologiczne autora recenzowanej książki uniemożliwia mu zrozumienie, że Chiny, które obecnie, jak twierdzi Moïsi nie poczuwają się do odpowiedzialności za przestrzeganie reguł w stosunkach między państwami, jeżeli kiedyś zmienią stanowisko w tej sprawie, to na pewno nie będą pilnowały przestrzegania reguł narzuconych światu przez Zachód. Nie są to ich reguły i dlatego nie mają ochoty pilnować ich przestrzegania. Jeżeli potęga Pekinu będzie tak wielka, że świat będzie musiał przyjąć reguły „konsensusu pekińskiego” to być może będzie on gotowy militarnie wymuszać jego przestrzeganie. Ta słabość książki sygnalizuje w istocie problem znacznie poważniejszy. Moïsi w istocie nie jest otwarty na Innego, choć tak dużo o owym Innym pisze, podobnie jak o potrzebie tolerancji itp. W istocie jednak Innego wyobraża sobie, takie wrażenie odniósł w każdym razie autor recenzji – być może błędnie - jako nieudanego Europejczyka, który pełnię

człowieczeństwa osiągnie jak przyswoi sobie „uniwersalne” wartości europejskie (czyli ideologię demokratyczno – liberalną).